

Elżbieta Piasecka
Biblioteka Uniwersytecka
Czytelnia Instytutu Lingwistyki Stosowanej UAM, Poznań

Biblioteka — muzeum na „dachu świata”

Streszczenie: *Tekst jest wspomnieniem z wyprawy w Himalaje, podczas której autorka, w trudno dostępnym zakątku, na szlaku pod Everestem, ogląda klasztor buddyjski i przechowywane w nim stare księgi oraz szczątki yeti. Zarówno eksponaty, jak i opiekujący się nimi mnich — strażnik skarbu stanowią intrygujący obraz, a mała świątynia zasługuje na nazwę biblioteki — muzeum „na dachu świata”.*

Słowa kluczowe: *Himalaje, Everest, klasztor buddyjski, mantry, stare księgi, szczątki yeti, biblioteka — muzeum, „dach świata”*

W małym przysiółku wioski Pangbocze, na himalajskim szlaku pod Everestem, znajduje się drewniany monastyr buddyjski kryjący niepowtarzalne skarby. Ludzie dolin nazywają ten rejon „dachem świata”. Nazwa, chociaż brzmi nieco pretensjonalnie, ma pełne uzasadnienie. Właśnie tam obejrzałam eksponaty, które poruszyłyby zarówno każdego kustosa muzeum historii naturalnej, jak i bibliotekarza. Interesujący obiekt znajduje się na wysokości prawie czterech tysięcy metrów, a więc dostać się tam niełatwo. Od ostatniego przystanku autobusowego w Jiri trzeba wędrować prawie dwa tygodnie. Strome ścieżki trawersują przez łąki, rododendronowe i sosnowe lasy, zagajniki bambusów, większe i małe wioski z tarasowymi, uwieszonymi na stokach gór, kamienistymi, pieczołowicie uprawianymi, półkami ryżu i ziemniaków.



Zdj. 1. Nepal. Na szlaku na Everest Fot. P. Piasecki.

Można skrócić trochę czas wędrówki, pokonując część trasy awionetką, ale lot obciąża nie tylko kieszeń, ale i zdrowie, nie dając możliwości aklimatyzacji. O wiele bezpieczniej jest wędrować, zagłębiając się w wielkich przestrzeniach i spokoju himalajskich dolin, z dala od miejskiego zgiełku.

Chwila, kiedy zza zakrętu dróżki wylania się malowniczy sześciotysięcznik Ama Dablam, z pionową, białą ścianą wznoszącą się nad wioską w dolinie, jest najodpowiedniejsza, aby skręcić na zachód i tracąc z oczu właściwą wioskę — Pangbocze stromym, trawiastym stokiem dotrzeć do jej małego przysiółka. Typowe dla Khumbu-Himal kamiennie-gliniane chatki otaczają wzdłuż całej południowej ściany drewnianą, zbudowaną na planie prostokąta, świątynię z gankiem.

Kiedy odwiedziłam ten rejon kilkanaście lat temu, było słoneczne, jesienne popołudnie. Mocno już zmęczeni kilkugodzinnym marszem w upale, podchodziliśmy we czwórkę stromym stokiem. Wioska zdawała się być wyludniona. Zalane oślepiającym słońcem, puste, bezdrzewne uliczki zalegała absolutna cisza, nie było słychać żadnego odgłosu, nawet szczekania psa, tylko nasze kroki na kamienistej drodze. Mieliśmy jednak irracjonalne wrażenie, że nasze najście jest bacznie obserwowane. We wszystkich nepalskich wioskach, których odwiedziliśmy już tak wiele, witano nas wyraźnie okazywanym, życzliwym zaciekawieniem; wymienialiśmy pozdrowienia gestem złożonych rąk i słowem „namaste”. Ta wioska była inna, nawet dzieci, zawsze ciekawe i ruchliwe, zawiodły nas swoją nieobecnością.



Zdj. 2. Ama Dablam (6856) Fot. P. Piasecki.

Kiedy stanęliśmy przed świątynią, nagły podmuch załopotał modlitewnymi chorągiewkami na dachu, a zza zniszczonej, ciężkiej kotary wysunęła się potężna, przygarbiona postać w długiej szacie mnicha. Olbrzym przegalopował po ganku i znikł. Zdążyliśmy jednak zauważyć zdeformowaną głowę i rozczochrane, czarne włosy, niestosowne u buddyjskiego mnicha, którzy przecież gołą głowę. „Quasimodo” — o tym imieniu pomyślał każdy z nas odruchowo — wynurzył przyzywającym gestem rękę zza zasłony. Niepewnie ruszyliśmy do środka. Wnętrze było typowe dla takich budowli: ciemnawe ściany, sufit i podłoga pokryte grubą warstwą farby o ostrych, nasyconych kolorach, tu mocno już przygasłych, na drewnianych, lakierowanych słupach baldachim okrywający posąg siedzącego Buddy, a za jego plecami ściana skrytek, w których mnisi przechowują zwoje zapisane tekstami mantr.

Mnich okrążył nas dookoła, jakby oceniając, czy jesteśmy godni dostąpienia tajemnicy, potem poskoczył w stronę skrytek. Chwilę stał wpatrzony w malowane szufladki, medytując nad ich zawartością, po czym ostrożnie wysunął kilka z nich, z

sobie tylko wiadomych powodów uznane za właściwe. Nabożnym ruchem wydobywał zwoje zapisanego, ryżowego papieru i rozkładał na ołtarzu u stóp nieruchomego Buddy. Papier cienki, mocno pożółkły, sprawiał wrażenie leżącego tu niezliczone wieki. Prawdopodobnie jednak zwoje mądrych maksym były wydobywane przy uroczystych okazjach, aby służyć religijnym rozważaniom gromadzących się mnichów. Wtedy też głębokie, niskie, niemal brzuchomówcze głosy recytujące mantry wypełniały świątynię. Przejęci dopuszczeniem nas do tego sacrum zapomnieliśmy o lękach i upływającym czasie, który tu ma zupełnie inne znaczenie niż w ciągle spieszącej się Europie.

„Quasimodo” sprawdzał efekt prezentacji na naszych twarzach i widocznie wyczytał z nich wystarczającą porcję szacunku, bo nieoczekiwanie rzucił się do skrzyni stojącej pod małym okienkiem. Otworzył ją zwinnym ruchem, jakim zaklinacze węży zwykli sięgać do swoich koszyków z kobrami. Zatrzymał się jednak i trwał w oczekiwaniu, patrząc na nas ponaglająco, nie wydobywając skarbu. Zrozumieliśmy, to już było bliskie Europejczykom — pokaz nie mógł się odbyć za darmo. Władczym gestem wskazał drewnianą skarbonę i pilnie przyglądał się wkładanym przez nas do pudełka pomiętym rupiom. Kiedy uznał opłatę za możliwą do zaakceptowania, zanurzył na powrót ręce w skrzyni, potoczył wzrokiem dookoła, jakby całą świątynię wzywał na świadka i wyszeptał nabożnie wyraz, który nawet w jego przedziwnej artykulacji pojęliśmy od razu — yeti.

Z niedowierzaniem i zaciekawieniem obserwowaliśmy prezentowane nam eksponaty. Był to przede wszystkim wielki płat skóry na niekompletnej czaszce. Skóra porośnięta ciemnorudą szczeciną o wyjątkowo mocnym, długim, prostym włosie przypominała futro małpy, ale zarówno kolor, jak i rozmiar włosa był bardzo nietypowy, biorąc pod uwagę znane nam ssaki. Kustosz tego szczególnego muzeum, widząc na naszych twarzach pożądaną efekt prezentacji, wydobył ze skrzyni następny eksponat: szkielet ogromnej dłoni. Czy dłoń należała do małpy, czy człowieka, trudno nam było stwierdzić, ale jej rozmiary zdumiewały. Uwierzyliśmy bez zastrzeżeń. Tak, to naprawdę szczątki yeti, stąd ta atmosfera tajemnicy i nieufności do obcych, którą w jednej chwili wybaczyliśmy mieszkańcom Pangbocze. Skoro się strzeże takiego skarbu, trzeba być ostrożnym.

Tymczasem „Quasimodo” tryumfował, a uznając widocznie, że profani dostatecznie doceniają wagę sacrum, do którego zostali dopuszczeni, zakończył swoje misterium. Celebrował długo odkładanie eksponatów na właściwie im miejsce w skrzyni, po czym pomrukując z wielkim zadowoleniem, wyprowadził nas ze swego sanktuarium.



Zdj. 3. Czorten w Pangboche Fot. P. Piasecki.

Przez lata wspominałam tamtą wizytę z nadzieją, że strażnik skarbu z niewyczerpanym entuzjazmem i pieczołowitością wiernie wypełnia swoją misję kustosa tej specyficznej biblioteki — muzeum na „dachu świata”, aby ci nieliczni, którzy dotrą tam niezrażeni odległością i trudami, nie doznali zawodu, ale zostali dopuszczeni do udziału w misterium starych ksiąg i szczątków yeti.



Zdj. 4. Ama Dablam. Widok z lodowca Lhotse Fot. P. Piasecki.

Niedawno dotarła do mnie wiadomość, że klasztor został obrabowany. Czy ma to związek z podporządkowaniem chińskim maoistom coraz większych obszarów Nepalu i niszczeniem kultury Tybetu, czy też skarby klasztoru padły łupem pospolitych rabusiów, pozostaje tajemnicą.